

## Mgobo Tubylec i wielki wieloryb — prospersurman

**Od autora:** Szanowni Państwo. Przesyłam pierwszy rozdział opowieści (Rozdział 1, w którym wielki wieloryb połyka maleńką wysepkę) zgodnie ze sugestią zamieszczoną na stronie, a dotyczącą dzielenia dłuższych tekstów na mniejsze części. Określiłem ją kategorią "bajka", choć mianem bliższym treści byłaby opcja "bajka dla dzieci zamkniętych w dorosłych". Całość tekstu składa się z dziewięciu rozdziałów i około 30 tys. słów. Z poważaniem, Prosper Surman

---

Naprzód pragnę się przedstawić (choć jest mi śpieszno); poznasz mnie, Drogi Czytelniku, jako narratora tej - bez kozery - niezwyklej opowieści. Współ z murzynkiem Mgobo i staruszką Bagu ścigaliśmy wielkiego wieloryba po siedmiu morzach i oceanach,=to tam spotkał Nas ogrom przygód, postaci i rozczarowań, lecz koniec końców, nagroda. Przez wiele lat relacja o wspólnych wozach krążyła z ust do ust; kolejne pokolenia dorastały, żywione opisem podróży jedynej w swoim rodzaju. A jednak: niezapisane słowa często gubią szyki - z biegiem czasu, opowieść odbiła od prawdy. Zdjęty grozą, postanowiłem interweniować, to jest: przelać na papier całość wspomnień; szybko odkryłem, że jedna kartka nie wystarczy - dopiero mała książka mogła pomieścić pobieżny zapis naszych poczynań, uzupełniony o ilustracje (nad wyraz niezgrabne, ale można im dodać powabu kilkoma kredkami). Część wydarzeń pominąłem, inne skróciłem, lecz nigdy nie skłamałem. To, co czytasz jest wierzytelnym i prawdomównym zapisem historii małego chłopca szukającego swojego domu w wielkim świecie. Wiem, że dzięki Twojej uwadze ta opowieść nigdy nie padnie łupem zapomnienia, podobnie jak imiona jej bohaterów.

\*\*\*

Drogi Czytelniku, w zamorskiej krainie na maciupkiej wyspie mieszkał malutki chłopiec. Zwał się Mgobo; Mgobo Tubylec, o skórze ciemnej niczym heban, kruczoczarnych włosach i dwóch ufnych węgielkach. Od urodzenia żywotny, próbował przeróżnych zajęć i pomysłów - nieugięty optymista nigdy nie tracił rezonu; podczas gdy wyspiarz z krwi i kości, był obcy wszędzie poza wyspą, ta zaś leżała pośród bezkresnego oceanu. Swoją nazwę – Santiago - wzięła od miejscowej wioski. Właśnie z tej osady, skupiska kilku szałasów krytych suszoną trzcina, pochodzi nasz bohater. W niej się urodził i dorastał, nie znając ogromu świata poza nią; stanowiła nie lada zagadkę: początki wioski niknęły daleko w przeszłości; nikt z tutejszych nie pamiętał czasów, gdy pierwszy żeglarz postawił stopę na białym piasku Santiago - od tego kroku upłynęły już pewnie całe wieki. Osada wrosła w piach wyspy wzorem pobliskich bananowców i z racji tego zżycia, mieszkańcy wyspy zowią się mianem „tubylców”; Mgobo, rzecz jasna, też nim był. W domowym szałasie wraz z rodzicami oraz piątką braci i pięcioma siostrami, łącznie: dziesięć rodzeństwa, pędził spokojne, rozkosznie leniwe życie. Klimat tutejszy był nad wyraz korzystny, przy czym na południu wyspy wyraźnie suchszy. Głębiej lądu (choć ciężko tu mówić o interiorze) porastały świeże drzewa i soczyste krzewy. Te spośród roślin, które rodziły plony, owocowały często i obficie. Rzek nie było prawie wcale – za wyjątkiem okresowych potoków, ale pobliskie wody miały się dobrze,

pełne od słonowodnych ryb, a do plażowej codzienności należał widok kraba idącego wspak po piasku.

Wiosce przewodził wódz (jego imię uległo zapomnieniu) kapłan, szaman, miejscowy znachor i filozof-amator w jednej osobie. Pomimo tych wszystkich fachów, nie miał tu zbyt wiele do roboty, więc skupił się na jednym: otóż, każdej nocy tubylcze plemię zasiadało wokół ogniska trzaskającego nad brzegiem morza, które grzało przepastny, mosiężny kocioł z wodą. Zbici w kręgu, słuchali wodzowskich porad i historii dotyczących minionego dnia - rozrywka (żarty na bok!) bardzo zajmująca – wódz bowiem był znakomitym mówcą i wybitnym kawalarzem. Często zanosił się końskim rechotem, a od czasu do czasu, w przypływie przedniego humoru, znenacka wrzucał jednego lub parę krajan do kotła. Stał w rozkroku, zaraz obok i śmiał się do rozpuku, widząc niezdarne próby ucieczki z kąpieli; cała wioska zaśmiewała się do wtóru. Nawet nieszczęśnicy – ci, którzy padli ofiarą żartu - nie żywili do wodza urazy (lub nabierali wody w usta). Wspólne zabawy trwały do późna w nocy. kazanie wieńczyła uczta i picie soku z bananów, uprzednio odstałym.

Jednak rajska wioska miała swoje mankamenty – przede wszystkim, była nadzwyczaj mała. Ledwo garstka szalasów, niewielki placyk-klepisko oraz jedna wspólna szopa, w której chowano dzbany z bananowym sokiem. Na nic poszukiwania, na nic wykopy - na wyspie odkryto już niemal wszystko. Szlaki wydeptane wśród zarośli i kęp przecinały miniaturowe wądoły i samotne pagórki. Nim podrośł, Mbogo znał doskonale każdy zakamarek malutkiej kraniki – równie dobrze jak Ty, Drogi Czytelniku, znasz zawartość własnej kieszeni. Stoi i jeden raz zdobył wierzchołek góry, dwieście razy obejrzał norkę polnej myszy; Podniósł każdy kamień i zajrzał do każdej dziupli; powąchał wszystkie kwiaty i spróbował wszystkich owoców. Większość drzew znał z imienia, kilka pozostałych z widzenia. Bez krzty przesady mogę napisać, że rodzinna kraina nie miała przed nim tajemnic - co innego morze dookoła niej. Znudzony wyspą, całe dni spędzał wiosłując w drewnianym czółenku; gdybyś tylko wiedział, jak wielką rolę odegra to czółenko w tej opowieści. Znalazł je dawno temu wyrzucone na brzegu morza. Wpierw zamarł. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu dorosłych. Podszedł ostrożnie do znaleziska. Pierwszy raz w życiu widział coś podobnego. Krok za krokiem, dobił do burty. Zajrzał. W środku nie było nikogo, jedynie wiosło położone płasko na dnie. Całość drgała nieznacznie, ilekroć fala podmywała poszycie i stąd Mgobo odgadł, czym jest dziwny kształt. Poglaskał go powoli i delikatnie wszedł do środka - czółenko nie protestowało, ujęte prostotą malca. Tak zostali przyjaciółmi; nierozłączna para przemierzająca nieznaną wodę wokół dobrze znanego świata. Dzień w dzień, ich duet opływał wyspę, kursując podług linii brzegu; czasem, w walce z monotonią, przystawał lub ruszał w przeciwnym kierunku, ale powab świeżości, podobny bryzie, był ulotny. Dziecięca ciekawość cierpi katusze na widok czegoś już poznanego i nie raz, nie dwa Mgobo śledził odległy horyzont, marząc o dalekich podróżach i nieodkrytych miejscach. Próbował przekonać dorosłych do wspólnej wyprawy, ale Ci odpowiadali uśmiechem szerniałych zębów i przeganiali śmiałka precz. Wraz z dorastaniem, dziecięca ciekawość urosła do rangi zaniepokojenia; zaraźliwy niepokój chłopca udzielił się innym podrostkom. Mgobo czuł, że coś zagraża im na rodzinnej wyspie, choć nie potrafił nazwać groźby – nie znał zbyt wielu słów; tym samym dźwiękiem określał kilka

zupełnie różnych rzeczy. Zafrasowany wódz, głuchy na ostrzeżenia chłopca, polecił, by Mgobo pływał do woli w swoim czólnie - z dala od wioski.

I właśnie tutaj kielkuje nasza historia – na plaży, gdy Mgobo współ z czółenkiem po raz wtóry opuszcza rodzinną wyspę - chłopiec jeszcze nie wie, że minie ogrom czasu nim znów do niej dobieje. Pogoda była znakomita – słoneczna i bezdeszczowa; lekka bryza unosiła się nad rzędami leniwych fal. Słońce zmęczone po całodniowej wspinaczce opadało powoli do morza; delikatne promienie światła budziły do życia wielobarwne błyski i refleksy. Z wiosłem w ręce, Mgobo przecinał grzbiety kolejnych fal. Jego czarne oczy obserwowały wysepkę, bez trudu chłonąc połówkę krainy. W pobliskiej wiosce panowała cisza przetykana dźwiękiem pochrapywań - mieszkańcy Santiago przesypiali poranki i najgorętsze godziny w cieniu chłodnych chatek. Otwierali oczy dopiero, gdy Słońce niknęło w połowie drogi do morza. Wtedy to wstawali i ziewali okrutnie, rozciągając zeszywniałe ramiona; wciąż rozespiani rozglądali się z wolna na boki, bydlęcym wzrokiem. Później, już częściowo rozbudzeni, zeszywniałymi zuchwami, darli miękkie owoce w ramach obiadokolacji. Od tej reguły istniały pewne wyjątki – jeden z nich właśnie odbił od wyspy: Mgobo – bo to o nim mowa - oglądał pusty plac wioski, otoczony przez dźwięk załamujących się fal. Przesunął wzrokiem po dachach krytych strzechą i ściankach naprędce wzniesionych z gliny; po ziemi ubitej gołą stopą i dziurze, której brzegi obwarowano niedopasowanymi kamieniami. Wszystko, co nosiło ślad wyspiarskiego ludku postrzegał jako niezwykle kruche i podatne na pęknięcia. Przeszedł myślami pomiędzy parą odległych chat. Niechybnie, cisza nawiedziła wioskę; milczenie martwe w porównaniu do krzyków i śmiechu wypełniających ciemne noce pędzone przy płomieniach chciwego ognia. Wyłowił drobiazg - osmolony kocioł, którego brzegi nieśmiało odbijały światło zmęczonego dnia. Ze wszystkich rzeczy na wyspie, najtrwalszy był właśnie metalowy gar, przybrany kozuchem sadzy i zaschniętego tłuszczu. Chłopczyk często zastanawiał się, skąd na samotną wyspę przybył przepastny kocioł; mosiężny, nijak pasował do wyrobów z drewna i gliny. Gdzieś z tyłu głowy, malec czuł, że kotła nie powinno tu być. Odcinał się, skupiał wzrok tubylców i szybko zajął centralne miejsce w życiu plemienia; słowo „tote” było nieborakowi obce, ale i pomimo tego poznał, że "ta rzecz" jest niezwykle stara, że istniała na długo nim tubylcy stali się tubylcami; nim osiedli na wyspie. W rzeczy samej, nikt z tubylców, nawet dumny Wódz, nie znał pochodzenia kotła. Istniały dwie legendy o jego powstaniu, a każda stanowiła lustrzane odbicie tej drugiej. Wyspiarze nie przywykli zadawać niepotrzebnych pytań: zaakceptowali obecność kotła i nauczyli się z nim żyć.

Być może to widok tajemniczego gara poruszył Mgobo; być może nagły wstrząs było sumą uczuć żywionych względem wyspy. Ciało chłopczyka przebiegł dreszcz, gdy gęsia skórka rozlała się po młodych pleckach, szybko spływając w dół nóg. Trzeba pamiętać, Drogi Czytelniku, że Mgobo mieszkał w bardzo ciepłym zakątku świata. Nawet noce były tu równie duszne, co letnie południa w Twojej okolicy. Dreszcze ciała i szczękające zęby stanowiły rzadkość, tam gdzie śnieg był znany jedynie najwyższym górą. Nic dziwnego, że Mgobo zdjął strach: czyżby padł ofiarą choroby? Gęsia skórka zbierała się wokół szyi i pierzchła na boki pod dotykiem palców. Murzynek wiedział, że coś jest nie tak. Widział. Wielkie zagro-

zenie. Niebezpieczeństwo, które przekreśli życie na wyspie. Muszą wszyscy uciekać – on, jego rodzice, pięć braci i pięć sióstr – pędzić co tchu. Natychmiast. Kurczowo ścisnął wiosło. Jednak po chwili spojrzał na swoje małe czółenko z rezygnacją. Jak on ich wszystkich tu pomieści? Pokręcił głową. W obliczu katastrofy, problem musiał poczekać. Z ręką zaciśniętą na drągu, zaczął wiosłować w kierunku brzegu.

Ledwo drewniane pióro przerwało gładź wody, a wyspę okrążyły pierwsze macki gęstych, podłużnych chmur. Wysoko nad morzem, sploty dymnych kłębow przysłoniły pożółkły owal Słońca. Mgobo wiosłował - nie dalej niż o rzut kamieniem i trzy długie kaczki od brzegu. Czółenko już nabrało pędu, lecz wtem z przeciwka dmuchnął wiatr. Niebo przeszła pierwsza błyskawica, a z oddali nadciągnął donośny grzmot. Cały świat pociemniał w oczach chłopca. Powietrze wypełnił dziwny, gryzący zapach. Mgobo wiosłował zażarcie, walcząc z porywami wichru i wzburzoną tonią. Małe muskuły przeżyły się pod skórą zlaną potem. Zaciśnął zrozpaczone dłonie na wiosle, aż knykcie zbierały po same paznokcie. Było coraz ciemniej i ciemniej. Jeszcze chwila, a Mgobo zniknie, jak kawałek węgla wrzucony w środek bezgwiazdnej nocy.

Fale podniosły grzbiety i jeżyły grzywy, wałąc o siebie nawzajem. Biedne czółenko nigdy wcześniej nie mknęło po równie stromych stokach. Ociekając słonymi kropelkami, wspinało się pod górę, by w chwilę później spaść w dolinę poniżej, i tak bez przerwy. Mgobo coraz rzadziej mógł dojrzeć rodzinną wyspę - cała kraina niknęła porwana przez gigantyczne fale; tylko ze szczytu najwyższych, chłopczyk mógł wypatrzeć znajome brzegi. Wyteżał wzrok w poszukiwaniu tubylców i ich domostw. Na próżno. Morze porwało go zbyt daleko, by rozpoznać jakikolwiek szczegół tragedii – poza jednym. Ilekroć oślepiający piorun przeszywał zachmurzone niebo, mosiężny kocioł rozświetlał centrum wioski. Jak latarnia przyzywająca nawałnicę. Ulotny widok utkwiał w głowie chłopca; po chwili znów znikł za oceanicznymi górami. Biedak niemal do reszty stracił poczucie kierunku. Desperacko walczył o życie. Popłynęły mleczne – bo pierwsze - łzy. Płakał biczowany wiadrami morskiej wody. Pomimo olbrzymich rozmiarów sztormu, nie spadła ani jedna kropla deszczu; czarny dywan kłębiastego dymu nie przepuścił łez nieba. Chłopczyk został porwany z dala od rodzinnej wyspy.

Słabnął z każdym machnięciem. Jego małe rączki już zniosły ciężar ponad siły. Ukochane czółenko zaczęło nabierać wody, gdy przez drewnianą krawędź przeciekały wściebkie fale; rozochocone, chlupotały na dnie. Tymczasem, chłopczyk wiosłował po kostki w wodzie. Coraz cięższe czółenko osiadało głębiej i głębiej we wzburzoną toń oceanu. Jeszcze chwilę a całkiem zniknie. Krople łez spływały ze smukłych paluszków. Zbił je w łódeczkę i zanurkował między nogami. Zdartymi dłońmi, sięgnął słonej kałuży. Musiał się śpieszyć. Zaczął wybierać wodę. Z werwą. Podniósł splecioną miseczkę i wylał na bok jej zawartość - smuga wody poszybowała łukiem ku falom. Wyrzucał nieproszonych gości bez sentymentu, lecz z uporem odrysowanym na ściągniętym czółku. Intruzi nie mieli wstępu na czółenko. Powtórzył ruch: drugi, trzeci, czwarty raz. Schylał się, prostował i odrzucał. Nie mógł przestać - pracując pod przymusem,

harując pod groźbą śmierci – gdy odpoczynek równał się śmierci, a jedyną nagrodą za dobrze wykonaną pracę, była szansa jej powtórzenia.

\*\*\*

Ledwo pierwsze promienie światła musnęły zgięty kark, Mgobo podniósł umęczone oczy. Zsiniałe, popękane usta szeptały niewypowiedziane słowa - ani modlitwę, ani przekleństwo. Plecy poorane batami sztormu raziły brzydota wśród zorzy poranka. Ocalały wioślarz nie był tym samym chłopcem, co noc wcześniej. Nadludzkim wysiłkiem rozprostował zgiętą szyję. Stopniowo podniósł wzrok ku górze. Spojrzał prosto w talerz Słońca; oblicze odwrócone i szukające czegoś na skrzącym się świtem horyzoncie. Mgobo spojrzał w ślad za niebiańskim wzrokiem, półprzytomny. Wokół nie ujrzał nic oprócz bezmiaru morza. Nigdzie nie dostrzegł wyspy. Czółenko obróciło się lekko. Mgobo zaryzykował i spojrzał przez drugie ramię. Pustka. Bezkresne morze sięgające bezkresnego horyzontu. Wycieńczone serce zabiło mocniej, gdy głęboki oddech przyśpieszył. Brak widoku wyspy wywołał silne zaniepokojenie. Przecież zawsze mu towarzyszył; nigdy się z nim nie rozstawał; narosły dezorientacja i wstrząs, zagubienie i panika, ponieważ teraz był zakryty. Zgubił ją, zgubił wyspę w trakcie sztormu...odpłynął za daleko. Zaniedbanie i kara, odpowiedzialność i konsekwencja; to znaczy - sam był zgubiony. Słońce odwróciło twarz. Nie zwróciło najmniejszej uwagi na osamotnionego chłopca. Samotne ponad nagim przestworem morza, ono również wyglądało na zagubione. Rozglądało się niespokojnie i przejęte szukało zguby. Chwilę później, pokręciło twarzą w dezaprobachie, wierząc się nieprzerwanie, jakby nie na miejscu. Poniżej, Mgobo też kręcił głową. Choć próbował ze wszystkich sił (a miał ich ledwo naparstek), nie dostrzegł konturu rodzinnej wyspy. Wszędzie tylko woda, woda i jeszcze więcej słonej wody. W sam raz na morze, może nawet skromny ocean, pośrodku - jedna łódeczka i jeden tubylec; dwie tragedie. Zrozpaczony stracił resztki sił. Przechylił ciężką głowę w bok – bezwładnie, bez czucia. Właśnie opierał pulsującą skroń o krawędź poranego czółenka, gdy Słońce odchrząknęło:

Ehmm – zabrzmiało popisowe odkaszlnięcie. Chłopczyk podniósł ciężkie powieki i powoli zerknął w górę. Złota Twarz odwzajemniła nieśpieszne spojrzenie mrocząc jasnością. Promienie światła przeszły powietrze i poraziły źrenice. Zapiekło; z kącików oczu popłynęły słone łzy. Chłopiec szybko przymknął powieki - bez ich mrużenia nie mógł znieść widoku Słońca. Onieśmielony zajął milczał. Złote oblicze zadało jedno z wielu możliwych pytań:

Czy wiesz, gdzie znajduje się wyspa, z której pochodzisz?

Mgobo milczał. Słońce ponowiło pytanie, zniecierpliwione. Chłopczyk nie powiedział ani słowa. Siedział w ciszy, przejęty strachem. Słońce zaczerwieniło się na policzkach pudrem pieniactwa.

Czemu milczysz? Nie jesteś przecież niemową, prawda? - rzuciło poirytowane. W nerwach przygryzło wargę w kształcie żyły złota – pewnie trafił na głuptaka.

Mgobo ruszył głową. Na rodzinnej wyspie starczyło mu kilka dźwięków. Wszyscy łapali w lot, co chłopczyk miał na myśli. Gdy chciał jeść – po prostu chrząkał, gdy pić – dyszał z wywieszonym językiem. Proste potrzeby nie potrzebują skomplikowanych słów; nie wśród prostych ludzi... ale Słońce nie było tubylcem. Ufało mowie. Strojniś, ubierał potrzeby w pstrokate stroje; musiał, ilekroć przemawiał do równych sobie. Mgobo potoczył w myślach pytanie – Nie jesteś przecież niemową, prawda? Skupił się. Poruszył wyschniętym językiem. Nie, chyba rzeczywiście nie był.

Nie – przemówił. Na dźwięk własnego głosu jego serce urosło z dumy, by w chwilę później niemal pęknąć ze smutku. Zrozumiał, że zdąży dorosnąć, nim dorówna Żółtej Twarzy; przygaśł.

Dobrze – sapnęło zniecierpliwione Słońce. - Powiedz mi, w którą stronę do wyspy.

Nie... – powtórzył powoli chłopiec. Słońce gwałtownie spochmurniało. Odebrało samotne "nie" jako licującą odmowę, a co za tym idzie ujmę na honorze i gwarant kłamstwa. Niechybnie, człowiek zazdrośnie ukrywa prawdę. Wnet go przysmaży.... Niezrażony Mgobo zdążył dodać – ...wiedzieć.

Odpowiedź tubylca rozczarowała Słońce: zaraz obróciło twarz od chłopca, podkreślając bezdenne zawód maleńką, nic nie znaczącą osóbką. Mgobo wyczuł okazję do zadania pytania. Przez chwilę zbierał się w sobie, porządkując co trudniejsze słowa. W końcu odetchnął głęboko i spytał na jednym wydechu.

Nie wiedzieć gdzie być wyspa?

Słowa zadziały niczym płachta na byka. Rozsierdzone Słońce spojrzało z ukosa, oślepiając chłopca. Zrobiło to specjalnie, więc poczuło cień pustej satysfakcji na widok buzi ściągniętej w grymasie. Chłopczyk przecierał łzawiące oczy zaciśniętymi piąstkami. Już niedługo zrozumie, że każdy ma ciemne strony; Słońce nie było wyjątkiem. Z natury rzeczy, on i jemu podobni są niezwykle czuli – wręcz przeczulenii - na brak szacunku i przypadkowy dyshonor. Dla przykładu: nie znoszą pytań, na które nie znają odpowiedzi. Przodują za to, gdy przyjdzie patrzeć na świat z góry, a niestety braki wiedzy ciążą pustej łepetynie. Dlatego Słońce łypało nieprzychylnie, ilekroć jakiś ignorant dowodził mu niewiedzy. Takie już po prostu było. Oślepiało każdego, komu pomyślunek uroił równie niechciane pytanie; demokratycznie, bez względu na wiek, płeć i rasę. Biedny chłopiec, jak to dziecko, padł ofiarą własnej ciekawości. Milczał, gdy Słońce szumiało:

Oczywiście, że wiem, gdzie leży wyspa. Problem, jak tam dotrzeć. Straciłem orientację (doskonałą i nieomylną) wczorajszego wieczora. Chmura chmur oblepiła mnie znienacka. Byłem już w drodze do

morza, więc machnąłem na to ręką. Postanowiłem, że jutro wrócę w to samo miejsce i zrobię z nimi porządek, rozgonię na cztery strony świata; rzecz jasna, do tej pory tchórze uciekły. Promieniujący, rozejrzałem się za wyspą - musiała zboczyć z kursu: dzisiaj, przez cały ranek sunę po nieboskłonie, a nie mogę jej znaleźć, i zapewniam Cię - z góry widać wszystko

Wszystko? - spytał niezgrabnie zaaferowany Mgobo.

Wszystko- potwierdziło próżnie Słońce, puchnąc z dumy.

Dlaczego nie widać ... - zaczął ostrożnie chłopiec. – wyspa?

Słońce zignorowało pytanie, złota twarz przybrała wyraz samozachwytu. Im więcej mówiło, tym słabiej słyszało chłopca. Jako małosłowny mówca, nazbyt lubiło olśniewać erudycją (sztuką płynnego i bogatego mówienia; takiego kapiącego złotem) w takt złotych ust.

To podejrzana sprawa – orzekło.

Oczywiście, Słońce nie miało pojęcia, dlaczego wyspy nie widać. Ale było Słońcem - nie naświetlało braków wiedzy; nigdy nie okaże zdziwienia – wręcz przeciwnie, kryje je tym mocniej, im bardziej rzuca się w oczy. Brało to za dobrą monetę: oznakę dostojności i powagi, gwarant szacunku. Ale w środku, Słońce było ciężkie od niepokojów i obaw, bowiem to co widać wokół było niezrozumiałe. Złężnione błąkało się po całym nieboskłonie, uskakując przy najmniejszym muśnięciu wiatru. W pewnym momencie, do szczętu wytrącone z równowagi, o mało nie spadło do oceanu. „Jak będę nawigować bez punktów orientacyjnych?” – pytało się przerażone. Gdyby miał włosy na głowie, ze zgryzoty rwałby wszystkie, co do cebulki. Rzecz jasna, Słońce nie miało zamiaru okazywać strachu i zwątpienia przed nic nieznającym chłopcem. Kontynuowało głosem, którym syty smakosz mógłby wspomnieć popołudniowe kremówki:

Przemierzyłem świat wszcz; nie tylko wyspa zniknęła. Większość krain, a nawet całe kontynenty, gdzieś odpłynęły. Wszędzie widziałem bezkresny ocean. Aż wyłowilem Ciebie; ocuciłem Cię, pamiętasz? - naciskało. Mgobo nie pamiętał, ale na wszelki wypadek podziękował. Słońce kiwnęło wyniosłe twarzą:

Dostrzegłem Cię wczorajszego wieczora, zanim chmury zakryły cały świat. Ciebie i wyspę.

Zaprawdę, miałeś wielkie szczęście. Zazwyczaj nie zwracam uwagi na podobne drobiazgi.

Dobrze, dosyć czasu zmarnowałem. Jestem pewien, że jutro wszystko będzie na swoim miejscu.

Może wyspy schowały się pod wodę; z czasem wypłyną. Ruszam na dalsze poszukiwania. Z góry widać wszystko, a jest jeszcze kilka miejsc, których dziś nie zwizytowałem. Ktoś musi iluminować świat - i ledwo to powiedział, ruszył w dalszą drogę.

Nie... - krzyknął przełknięty Mgobo – ...zostawiać mnie sam.

Biedny chłopczyk drżał na samą myśl, że on i członko mieli spędzić cały dzień na pustym morzu. W ta-

kich okolicznościach nawet towarzystwo pysznego Słońca było mile widziane.

Zatem płyn za mną - rzuciło Słońce bez oglądania się

Gdzie? - zapytał nieufnie chłopiec.

Z pewnością na zachód. Czuje, że powinienem tam ruszyć.

Rzecz jasna, Słońce koloryzowało okrutnie; z dnia na dzień sunęło ze wschodu na Zachód. Nawet zaginione wyspy nie mogły zmienić równie utartego biegu rzeczy. Słońce to widziało, ale było bardzo próżne, zbyt próżne - wolało iść w zaparte i zżymać się, że podąża własną drogą. Tak długo mamiło innych, że przejęło część posianej wiary; syte nią, rozdeptało się ponad miarę. A Mgobo? - on też stanął pod ścianą oczywistego. Mógł odrzucić wiosłowanie i utkwąć w centrum bezludzia, pośrodku bezmiaru wód. U boku wścibskiego Słońca tycie szanse wypatrzenia domu rosły o miarkę lub dwie. Wóz albo przewóz, gdyż poza decyzją, którą właśnie podjął, nie istniała żadna inna. Czule tknął pogruchotany bok łódeczki - choć sam chory, zaszczerpiał otuchę w potłuczonym kompanię. Czółenko pojękiwało na wodzie, obolałe i solidnie wstrząśnięte, lecz gotowe do dalszej drogi. Dłoń pełna świeżych odcisków pochwyciła wiosło. Nadłamane pióro sterczało ze styliska na kilku rozmokłych wiórach; przez jakiś czas wytrzyma, nim pójdzie w drzazgi na dobre i na złe. Historia musi przecież płynąć naprzód (a czasem zatoczyć koło) - bez wiosła żeglowanie łódką, taką pozbawioną żagla, nie wchodzi w grę. Z przekorą skarconego psa, Mgobo i łódeczka ruszyli w ślad za Słońcem.

Rzęsisty trop odblasków rwał prosto na Zachód; rozedrgana ścieżyna nikła w ciszy, hen, za widnokresem. Z rękami zajętymi wiosłowaniem, chłopczyk młócił myślami wycieńczony umysł. Ogrom zmartwień załapał maleńką główkę aż po same uszy. Wśród kłębowiska rozterek i niepokojów nie było miejsca na radość z przeżycia. Zresztą, komu je zawdzięczał - tylko sobie samemu. A on, właśnie teraz, nie czuł powodów do radości.

\*\*\*

Płynęli za Słońcem przez cały wieczór. Złota Twarz zachowała dystans; mknęła przodem, z oczami utkwionymi na wprost, czasem tylko zerknęła w bok. Kilka stopni poniżej, palące pragnienie i obezwładniający głód dręczyło zmarniałe dziecko. Pod loczkami, malutka czaszka pulsowała tępym bólem - to werble śmierci wybijały marsz żałobny na skroniach. Ramiona opadły z sił, gięły się pod falami spiekoty; czarne loki legły pokotem na bladym czołku. Do przodu parli pchani ciągiem mechanicznych ruchów wpojonych przez noc beznadziei. To one wydarły oklapłe ciało spod władzy udręczonego ducha.

Eureka – buchnęło nagle Słońce i wnet przyspieszyło biegu.

Raban ocucił chłopca – pokrzepiony dziarskim okrzykiem, pruć wodę w ślad za gwiazdą. Nie dziw, że nie poznał dziwnego słowa rodem ze starożytnej greki, języka wymarłego wieki temu; za młodu Słońce podsłuchało w nim parę fraz i półsłówek, które obficie skapywały z naoliwiony warg sofistów. Od ręki uznało, że brzmią nader mądrze, niemal wyniośle. W sam raz dla szczerzotych ust. Nawet dziś, po bez mała milionie słonecznych cykli i kilku dniach niepogody, zwyczaj brał górę: na skraju doniosłego odkrycia, krzyczał utracone zwroty – a że odkrywcy jak on nie zdzierzą obojętności, miał ku temu dużo okazji.

Chłopiec mozolił się z wiosłami, nim dane mu było dostrzec znalezisko. Pośrodku oceanu (co ważne, ocean zawsze ma więcej niż jeden środek – w zasadzie tyle, ile zaginionych tratw i zagubionych czółenek) na bali, z nogami w wodzie, leżał rozpostarty człowiek. Najwyraźniej Słońce poznało go na pierwszy rzut oka; Mgobo potrzebował dłuższej chwili. Z dłonią przytkniętą do czoła w roli daszku wertował rysy obcej twarzy. Coś w nim drgnęło. Kolejne bruzdy napłynęły znajomością. Dojrzał podobieństwo profilu, rozpoznał obrys ciała. Eureka! Na szczątkach tratwy drzemał tubylec Bagu.

Drogi Czytelniku, czy jeszcze pamiętasz wyjątki od tubylczej reguły dnia?

Jeden masz pod samym nosem – ależ tak, to Mgobo i jego czółenko; para, która miast spać, wołała pruć wodę, którą połączyła ich wspólna miłość i niewypowiedziany niepokój. Kolej na drugi ewenement – przedstawiam: Bagu i jego tratwa (a dokładnie, jej resztki). Tubylec, który przyszedł na świat znikąd i w tym kierunku podążał, który dorósł po drodze bez celu, choć niekoniecznie zmęśniał; prawdziwy matuzalem wśród mieszkańców wyspy - biała broda okalała czarne usta. Już w kołysce przeczuwał, że całej wiosce grozi wielkie niebezpieczeństwo; wszyscy go zbywali tak, jak pokolenia później Mgobo. On również trwał uparcie przy swoim. Stanąwszy na własne nogi, w końcu wybudował tratwę - ratunek w chwili śmiertelnego zagrożenia. Zadanie niemal go przerosło: na wyspie brakło narzędzi i miar, najbliższe drzewa rosły w głębi lądu. Nikt nie przyłożył ręki do prac - temat budowy był tabu, a jedyny możliwy odzew równał się ciszy jak makiem zasiał.. Profetyczne sny męczyły młodzieńca odległym zarysem. Ledwo otworzył oczy, chwycił pobliski kijek i tępym końcem rył na piasku nierówne rowki. Im wcześniej zaczynał, tym szybciej tracił orientację i gubił kolejność bali; koniec, końców patrzył jak jęzory fal rozlanych po brzegu zlizywały nieporęczne bazgroły Z rezygnacją za pasem, parł na przekór szeregu fiask; trwał samotny i jedynie cichy niepokój dotrzymał mu towarzystwa, zagrzewał do walki oraz nieskończonych prób. Nie ustąpił pola zdradliwym słabością: 40 uczt trwała budowa tratwy rozłożonej na piachu. Zaraz po jej zakończeniu, Bagu nie pamiętał nic: jak to zrobił (zupełnie sam, bez instrukcji z góry?), kiedy i dlaczego - po prostu się stało. W końcu była gotowa! Swoją ucieczkę zwodował wieczorem tłustym od poświaty nadziei. Tam, w blasku Księżyca stanął na okrągłych klocach zbitych po-

stronkiem z włókien agawy. Odetchnął pełną piersią i ruszył w rejs dookoła znanego świata. Uczty pędziły jedna za drugą. Wraz z ich upływem czoło Bagu spochmurniało, a usta skamieniały. Zaprawione w bojach, ręce straciły wolę walki, włosy odpuściły kruczoczną barwę; apatyczny, coraz częściej ulegał rezygnacji. Życie uciekiniera to odroczone męka, a męka, nawet odroczone – co to za życie? Drzewiej dobijał do lądu, choć wyłącznie na handle – to tam podmieniał złowione ryby na wyspiarskie dobra. Wśród nich, jedno cenił sobie ponad inne; mało powiedziane - wprost szalał za odstanym sokiem z bananów; raz rozsmakowany, przybierał inną minę. To były radosne momenty - posępny uśmiech spełzał z rozczarowanej twarzy, a pod haczykowatym nosem brzmiało kilka beztroskich przyśpiewek. Krotch-wile, ale z tym milej widziane, tutaj na skraju ucieczki i w interiorze zagubienia.

Uczty mijały nieprzerwanie. Bagu przeżył starszyznę, rówieśników i osesków; ogół tubylców szanował sędziwy wiek i pobladłą brodę. Dziewiczy rejs dobiegał końca, mężczyzna bezpowrotnie wkroczył w okres defloracji i melancholii. Nigdy nie wiosłował w pocie czoła, ba, nie znał wiosła. Raczej puszczał tratwę samopas, a ta okręcała się wokół wyspy niczym pies w pogoni za ogonem. Przybrzeżny prąd niósł ospale szczepione bale; mężczyzna cenił sobie tę wygodę. Gdy nadszedł czas, zmęczony wielką włością, postanowił osiąść na stałe. Zaczepił o tratwę koniec rzemienia; z drugiej strony przytroczył zwalisty głaz. Niesiony prądem wzdłuż bezludnej plaży, wrzucił kotwicę do zwierciadlanej wody. Plusk, a potem głuchoe tąpnięcie. Postronek strzelił niczym z samograj i zawrócił leżankę. Bagu chłonał plener rodzinnej krainy; luna zachodzącego Słońca skąpała ląd w brodziku czerwieni. "To pierwszy widok, który tu zastałem i pewnie też ostatni, który tutaj mnie zastanie" - odgadł. .

Pustelnicza ostoja gwarantowała niemal niezmacony pokój -w okolicy nie buszował żaden natręt; jedynie Mgobo – właśnie we wtórym rejsie donikąd - mącił idealną ciszę machnięciem wiosła i dziecięcym wołaniem. W rzadkich porywach dobrego humoru, Bagu odpowiadał wzniesioną ręką; zwykle poprzestawał na milczenie. A jednak, nieproszonej wizyty wypatrywano z utęsknieniem; odwiedziny stały się kulminacyjnym punktem codziennych zajęć (Bagu czekał z pićm bananowego soku do zmroku; była to jego reguła i trzymał się jej ślepo ). Właśnie czekał kolejnego spotkania, gdy z północy zadęła ciemna nawałnica sztormu. Poczł szkwiał całym sobą; jak gdyby to nie krople deszczu, lecz wspomnienie z dzieciństwa wypełniały powalę ołowianych chmur. Ruszył do przodu po ratunek. Smoliste kłęby obkoczyły aureolą oniemiałe Słońce; znieacka zerwał się dmący wiatr. Zrozpaczony starzec musiał dobić do brzegu. Powidok plaży wciąż majaczył za kotarą zapadającego mroku, jednak pech chciał i nabyta niezdarność kosztowała roztrzęsioną postać szansę schwytania lądu. Tratwa miotana bijącymi falami zerwała się ze sparciałego postronka. Mknąc po frenetycznych wzniesieniach, pognęła na pełne morze. Bagu przywarł do platformy całym ciałem i zmarł. Przez bezkresną noc kryształowe rolady młóciły dwójką po przestworzach zatopionego w mroku oceanu. Mądry doświadczeniem, Bagu nie walczył; dopadnięty, z miejsca stawał się przegranym. Nie chciał próżnych kłamstw – jakie szansę miał na loterii życia, gdy na-

przeciw, rozpostarty w pełnej krasie, miotający wokół grzmiącymi bluzgami zaległ sztorm. Ostatnie nadzieja starca – tratwa – prysła i stała się kolejnym, więzieniem, zupełnie jak wcześniej ciało i wyspa. Nie było już ucieczki, chyba że od życia, prosto w paszczę śmierci. Rozłożony na wznak, z dłońmi w wodzie, czekał końca orkanu i własnego bytowania. Zamknął oczy, zacisnął usta – trwał. Tak przeczekał nawałnicę, a wraz ze świtem przeżył i zawód - z pary gości nadszedł tylko jeden, pierwszy – drugi zginął na morzu, gdzieś po drodze.

Teraz, niemal wyzionąwszy ducha, leżał opleciony wokół pojedynczej bali – tylko tyle pozostało z wizjonerskiej tratwy; wystawiona na razy dojmujące sztormu, rozdarta i rozbita, rozsypała się niczym domek sklecony z płonnych zapalek; jak sen zdmuchnięty powiewem unoszonych powiek. Jedna, ostatnia bala warowała przy boku człowieka; reszta szczątków podryfowała w nieznane lub poszła na dno. Wsparty o wyrobiony pień, mężczyzna przepłynął przez zakusy sztormu i sierpy oceanu. Nie raz wydźwignięty spod wody, przetrwał noc beznadziei. Bo choć tratwa wprzód zawiodła jako strażnik, wtóre dotrwała jako kompan. Byłem tego świadkiem, Drogi Czytelniku, o czym Cię zapewniam.

Wycieńczony Bagu, zbierając siły, oprzytomniał z lekka i otworzył zapuchnięte oczy. Z nosem rozkwaszonym na bali, mógł ujrzeć niewiele więcej ponad lustro wody i drewniany pał. Poruszył nieśpiesznie palcami, nozdrza wydeły się pod uderzeniem rozgrzanego powietrza. Stęknął przeciągle. Jak gdyby podpowiedzi, usłyszał cichutki głosik z tyłu głowy. Wyraźnie poczuł czyjąś obecność w górze - obecność, której nie sposób zlekceważyć lub zbyć machnięciem dłoni. Nieświadomie zaryzykował - spojrzeniem. Ślamazarnie odchylił pękającą głowę. Zaczerwione oczy wymierzyły wprost w Słońce, gdy złoty talerz nachalnie nachylał się nad nieszczęśnikiem. Ogorzałe policzki oblał rumień, na czole wystąpił pot; bez chwili zwłoki, Bagu odwrócił wzrok, jednocześnie mrużąc powieki. Odbił się od krąglaka i siadłszy na nim okrakiem, wyrzucił ręce do góry.

Cisza – ucięło Słońce, nim starzec zdążył wykrztusić powitanie z zapadłego gardła; Prosto z marszu, jęło strofować i popędzać rozbitka - Nie mam czasu do stracenia. Migiem, powiedz mi, gdzie jest wioska.

Bagu opuścił wzrok i wyznał roztropnie:

Wioski już nie być.

Po równie spontanicznej odpowiedzi i to w równie rozdzierającej chwili, znać, Drogi Czytelniku, że starzec rzadko zapominał języka (choć często tracił głowę). Dublował resztę tubylców i ukradkowe pogawędki podjął jeszcze jako osesek. Od tej pory, nigdy nie zaprzestał praktyki. Do roli pierwszych

słuchaczy oraz rozmówców próbował zaprząć najbliższemu otoczeniu. Daleko nie ujechał. Ilekroć próbował gawędzić z tubylcami, ci śmiali się do rozpuku i nie rzekli nic. Zwierzęta podobnie - nie były nazbyt rozmowne. Parskały jedno przez drugie i nie dodały od siebie niczego, czego wcześniej nie podchwyciły z ludzkich ust. Na przekór tej porażce, wciąż ćwiczył język - z braku kompana do rozmów, Bagu mamrotał pod nosem., Porzuciwszy o poranku wygrzane legowisko, ruszał na nieśpieszny obchód w głąb lądu, gdzie zwykł nazywać napotkane, pozornie bezimienne zwierzęta; ilekroć spotykał anonimowe stworzenie lub goło-słowne zioło, siadał na pobliskim kamieniu i z głową wspartą na zaciśniętej piąstce, jał obmyślać nowe miano.

Eksploracja trwała raptem kilka lat, ale i później, gdy zasępiony, w martwej ciszy mijał krzaki, ujrzał nareczże okazji do pośpiesznych nominacji. Oprócz tego, częstokroć dochodził porannego samopoczucia i wieczornego nastroju; powód do większej radości w okresach radości i adekwatnej zgryzoty w sezonach zgryzoty.

W narzuconej ciszy dźwięk własnego głosu zawsze przynosi ulgę. Wypełniał Bagu dumą, choć dalece mniejszą niż wokalne popisy rozdymające Słońce; po prostu czuł, że tak być powinno i rzeczywiście tak było - aż do chwili sprzed katastrofy. Ale, może to nie pora na podobne wspominki. Wybacz.

Jak to nie ma? - zachnęło się Słońce, żądając pełni uwagi.

Wyspy... – kontynuował Bagu spokojnym głosem z kornie pochyloną głowę, nie chciał bowiem urazić Żółta Twarz – już nie być.

Jak to nie ma? Jak to nie ma!- obruszyło się żywiej Słońce i uniosło niekłamany gniewem (choć tyle było w nim z prawdy) – Co to za dyrdymały?! Przygrzało Ci w głowę, głupcze? – wytknęło starcowi bezmyślnie – Skup się i mów, gdzie jest wyspa.

Z oddali nadpłynął Mgobo. Starzec usłyszał plusk wody i spojrzał w kierunku, z którego nadpłynął Popękane usta zakwitły uśmiechem. Zażarcie wiosłując, Mgobo był niepomny zarzutów Słońca i wyjaśnień Bagu. Z dziecięcą niefrasobliwością wtargnął w sam środek dyskusji dorosłych, a dumny z nowo odkrytego głosu, bez zapieszenia, rzucił jako pierwszy.

Witać. Ty pokazać wioska?

Czołenko zawtórowało chłopcu przeciągłym skrzypnięciem. W sercu malca, oczekiwania zepchnęły na bok radość ze spotkania - Mgobo uchwycił się nadziei w osobie ocalałego starca. Bagu był najstarszy i najmądrzejszy z tubylców; on wiedział i widział więcej. Pewnie zna takie rzeczy, które nawet Słońcu nigdy nie przyszły do głowy. Bez dwóch zdań - wie, jak dopłynąć do wyspy; jedno słowo, i ruszą w podróż powrotną. Starzec objął chłopca spojrzeniem smutnych, jantarowych oczu. Zakotwiczony ciałem w bieżącej chwili, myślami powrócił do poprzedniej nocy; i ja tam wrócę, a Ty, Drogi Czytelniku, wraz ze mną

(na tak długo, na jak długo starczy Ci odwagi).

Wybacz iście niewybaczalne rozproszenie (i marnej jakości epitet), ale w ferworze sztormu, huku kołujących się fal i smogu palącym płuca zapomniałem o najważniejszym – o wielkim wielorybie. Gdy Bagu leżał na tratwie, a fale smagały jego nagie plecy, nagle z chmur i dymu, zdobiony nagością zamiarów, wynurzył się On - daję słowo, przy jego rozmiarach każdy opis spełza na niczym, niczym stopy na stokach lustrzanej góry (a i góra jest jeno fraszką i dziecinnym bajaniem zdobiącym opowieść na dobranoc); niech pierzchną olbrzymy, giganty i kolosy; stojąc jeden na drugim, nawet nie utną mu nosa - z zawieruchy i sztormu wypłynął właśnie wielki wieloryb. Drogi Czytelniku, studzownie ostrzegam Cię przed śmiertelną pomyłką. Na myśl o wielorybie – rusz głową, śmiało! - ujrzysz stworzenie rozmiarów słonia albo nawet kilku. Zgrozo - to nawet nie jest nieoszacowanie; to po prostu brak szacunku! Ten wielki wieloryb, większy od gór i wulkanów, wzgórz i wydm, górował nad całym światem i gubił połowę świata w nieprzeniknionym cieniu. Nie miał rąk (jak to wieloryb), lecz bocznymi płetwami obejmował cały glob. Nie zatrzymał się, ba, nawet nie zwolnił! Ot tak, uchylił paszczę i wessał wyspę, razem z wioską, tubylcami i mosiężnym kotłem; zrobił to bez zastanowienia i trudu. Podobnie, bez zastanowienia, ruszył dalej, wypełniając wielkim cielskiem cały horyzont. Myślę, a nawet jestem przekonany, że z grubszą pojąłeś płonność wszelkich prób oddania równie niebywałego rozmiaru. Słowa typu: gigantyczny, wielki, niezmierzony, nieprzebrany, monstrualny, kolosalny, olbrzymi, nieporównywalny, gargantuiczny (tak, istnieją nawet takie słowo, ale i bez przymiarki wiem – za małe), czy ot, wielorybi, są stanowczo nie na miejscu. Dlatego nazwę go, po prostu, wielkim. Wielkim wielorybem (Z czasem zobaczycie, że nazwa wejdzie w użycie i padnie jeszcze nieraz).

Tragicznego los wyspy jednego miał tylko świadka - Bagu. Rozpłaszczony na rozklekotanej tratwie, pluąc słońcą wodą, śledził rabunek spod przymkniętych oczu. Ciemność ogarnęła świat nimbem końca; wszystkie światła pogasły w jednej chwili. W powale cienia nawet sokole oko zawodzi i nie sposób odśiać plewa mroku od grochu nocy. Już tylko rozbłyśki błyskawic krzeswały oślepiające flary światła, W rwanych przebłyskach półmroku, Bagu mógł dojrzeć milczący pochód wieloryba. Gdy łupież dobiegła końca. Nie było, czego zbierać. Chwilę temu wyspa siedziała na podmorskiej grzędzie, by w okamgnieniu ulecieć, wyrwana z korzeniami. Starzec sapnął głośno i wtulił twarz między bale platformy; pośród kropel słodkiej wody i rozprysków słonej, zapłakał gorzkimi łzami.

Chłopcu odjęto tłamszącego widoku. Jego czółenku porwano nazbyt daleko i wyspa wnet znikła za czapami fal. Z tej odległości, ciemność pochłonęła wszystko; nawet wielki wieloryb przemknął niezauważony. Okrutne fale roztoczyły pozory litości nad Mgobo i przysłoniły scenę tragedii jak bela materiału; za ich sprawą chłopiec dryfował w nieświadomości aż do czasu radosnego spotkania. Głos więźnie mi gardle, gdy spisuję te słowa: pora to zmienić. Wcześniej to on był tym, który się zgubił – teraz zaginać miała cała wioska:

Wieloryb... wielki wieloryb przypląć i zabrać całą wyspę razem z wioską. Widzieć własne oczy – zjeść wioskę i popić morską wodę – wyznał prostodusznie starzec

Może wydać się Ci to dziwne, Drogi Czytelniku, lecz Mgobo uwierzył bez słowa sprzeciwu (zresztą, czy szczerze dzieci nie są łatwowierne z natury?) Okrągła główka upadła na zgięte, łysy kolana.. Załkał cicho w szlochu bez łez.

Jak to wieloryb? - Słońce waliło między żalobę dwóch tubylców. Już teraz, wiedza starca grała mu na szczerzoty nerwach. Zdecydował nie dać wiary podobnym sensacją, bo były.... niewiarygodne. Tak. Niewiarygodne.

Starcowi musiało się pomieszać w głowie i dlatego bredził od rzeczy. Wieloryb połknął wyspę – co za bzdury. W całym długim życiu nie słyszało równie głupiej i wyssanej z palca historyjki. A nuż, rozbitek drwi sobie z podniebnego majestatu; próbuje wywieść go w pole? Z nimi nigdy nic nie wiadomo. W takim razie go zdyskredytuje ( pozbawi wiarygodności) w oparciu o własną pozycję. Spojrzał z ukosa z góry i przemówił z przywarą w głosie:

Ja, nie widziałem tutaj żadnego wieloryba; na pewno nie wielkiego, a przecież jestem Słońcem i nic co pode mną nie ujdzie mojej uwadze; ujrzę wszystko i wszystkich, szczególnie tych, którzy pragną się ukryć i nawet najmroczniejsza sprawka nie ujdzie płazem. Oglądałem początek i zobaczę koniec świata. Docieram w najdalsze zakamarki globu, każdego dnia podziwia mnie mnogość narodów, niezliczone stada i gromady wstają na moje powitanie; dyryguję wszystkim dookoła, a jednocześnie, gram pierwsze skrzypce. Wszystko dookoła obraca się wokół mnie. - Słońce pochyliło się złowieszczo nad parą rozbitków i z groźbą w głosie podsumowało:

W zaistniałych okolicznościach, musicie przyznać, - żaden wieloryb nie mógł tak po prostu połknąć całej wyspy, nawet takiego ochłapu. Nie była aż tak mała, a on aż tak duży,

Bagu usłuchał słów Żółtej Twarzy Wsparty dłońmi, zdołał przyklęknąć na dryfującej bali. Ledwo zauważalnie pokręcił głową.

Wieloryb być wielki niczym... – tubylec zamilkł na dłuższą chwilę. W pustej głowie wypatrywał obrazu czegoś, co mógłby zrównać z rozmiarami wieloryba; siemiężnie dobierał właściwą miarę: szalasy, palmy, małe kamienie na plaży i duże skały na dnie morza; nie przymierzając, nawet mosiężny kocioł – wszystko nie większe niż odległe ziarno piasku przy niezmierzonym gigantyzmie kaszalota. W końcu, nie wiadomo skąd, sfrunęło odpowiednie słowo i wylądowało na końcu języka. Wyteżył pamięć i wyrzekł:

Bóg

Nigdy nie widziałem - zbyło porównanie Słońce, nadąsane i dotknięte do żywego. Taka przymiarka była mu zupełnie nie w smak; w końcu był niedosiężnym Słońcem. Jak tu przełknąć, że ktoś lub coś może nad nim górować? Najlepiej wiedział, że przyćmiewa boga pod każdym względem (drobna dygresja - to światło, a nie mrok rzuca cienie), zrodzony bez ojca i matki, był samorodkiem. Niebiańskim samorodkiem. W międzyczasie, naburmuszone oblicze stroiło miny, lecz nie sposób ukryć ciekawości rysującej się na rozognionej twarzy. Prędzej czy później, niby od niechcenia, spróbuje uchylić rąbka tajemnicy:  
Dokąd popłynął? – spytało bez zainteresowania.

Bagu wskazał ręką. Mgobo podniósł czołko i podążył za oskarżycielsko wysuniętym palcem.

Na Zachód – skwitowało Słońce. - W takim razie nie ujdzie daleko

Już miało ruszać z miejsca, ale starzec wstrzymał je rozpaczliwym apelu:

Wieloryb nie wiedzieć, co to sen. On podróżować za dnia i w noc, bo on nie znać co to dzień i noc.  
Pozwolić nam - my go gonić, gdy Ty znikać za morze - zaproponował proszącym tonem.

Zawodzący głos nie zdążył jeszcze przebrzmieć, gdy chłopiec dodał od siebie.

My zabrać nasza wyspa – przyklepał cichutko. Nie wiedział jak, nie wiedział gdzie ani kiedy, lecz jednej rzeczy był pewien - muszą tego dokonać - odzyskać własną wyspę, choćby z trzewi rabusia. W takim razie, zobowiązuję Was do podjęcia się tego zadania i zakończenia go powodzeniem. Macie na to równo dzień i noc – westchnęło zniecierpliwione Słońce istic królewskim głosem, z myślą o odprawieniu pary natrętów.  
Jutro spotkamy się w tym miejscu. Docenie moją grzeczność, bowiem uprzedzam Was nie będę czekał. Jeśli się spóźnicie, nie liczcie na moją pomoc. Przyprowadźcie tu stwora, a ja już zajrzę mu w oczy i wycisnę łzy.

I nim zdążyli przytaknąć lub zaprzeczyć, ruszyło pośpiesznie swoją drogą. Nie spojrzało przez ramię, bo i na co. Całe promieniało dumą - doskonale rozegrało tę godną pożalowania sprawę. Przyklasnęło sobie w duchu: „Ha! Nie ma szans by dwóch obszarpańców podołało takiemu zadaniu.” Jutro minie ich w tym samym miejscu – zrozpaczonych, błagających o pomoc zgrzytem zębów. Wtedy, po wielu odrzuconych prośbach (wszystko w swoim czasie), ulituje się i łaskawie schwyta wieloryba. Przydybie go, zniewoli i odholuje pod nosy rozbitków. Będzie tak długo opiekował wielką rybę, aż wydusi z niej osmoloną wyspę i jej osmolonych mieszkańców. .Potem, w glorii omnipotencji, puści złodzieja precz - niech ludzie poznają,

że przebaczę nawet tym najgorszym, najbardziej podłym i plugawym; niech znają łaskę pana. W wyrazie niesplacalnej wdzięczności, tubylcy wzniosą mu postument i będą bić głową o kamienne schody, ilekroć wzleci znad morza. Koniec z impertynenckimi, choć ukradkowymi, spojrzzeniami w Złotą Twarz. „Na samą myśl o podobnym bluźnierstwie będą mdleć i chorować ze zgryzoty; prędzej wyłupią sobie oczy niż pozwolą na taki grzech” - bajdurzyło Słońce, mknąc na Zachód. Całe pokraśniało od tych marzeń i dodało złośliwie półgębkiem: „A nawet jeśli im się uda i jakimś cudem przydybią wieloryba, to i tak nie zmuszą monstrum do posłuszeństwa; za żadne skarby. To przegrana sprawa; bez dzid, nie wspomniawszy o łukach i strzałach, jednym słowem: nieuzbrojeni, są niewarci funta kłaków. Wielka ryba raz parsknie i odrzuci ich na dziesiątki mil w tył.” Nawet pazerne Słońce nie zazdrościło im podobnego lotu. Z pewnością upadek będzie nader spektakularny – trzeba zadbać o dobre miejsce na nieboskłonie.

Jak widzisz Drogi Czytelniku, lśniąca powierzchowność skrywała mroczne zapędy. Nawet maślane oczy zło wróżą, a co dopiero takie złote. Słońce nie jest osamotnione w podobnej fizjonomii, więc miej się na baczność. Pełne radości grzejącej go od środka, zniknęło za pastelowym horyzontem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

prospersurman, dodano 01.08.2017 22:06

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).